

MICKEY

Mickey dowiedziała się o śmierci ojca z nekrologu. Nie została wymieniona wśród jego najbliższych i nie dziwiło jej to. Ani też nie bolało. Bez żadnych emocji plasnęła gazetą o papiery na biurku, odsunęła je i postanowiła już nigdy więcej nie myśleć o nekrologu ani o swoim ojcu.

Obróciła się, by lepiej widzieć jedyne przedszkolaka pozostałego w sali. Siedział w kucki na dywanie.

– Fajny samolot.

Ian nie podniósł wzroku znad Lego.

– To kosmiczny myśliwiec.

– A, to przepraszam.

Minęło czterdzieści pięć minut od zamknięcia przedszkola. Mickey zdążyła pozbierać z podłogi wszystkie skrawki chusteczek, odłamki kredek i okruchy ciastoliny. Wypucowała stoły, zmywając z nich klej i mus jabłkowy. Poodkładała samochodziki, koleжки, bobasy o szklanych oczkach, różowe stetoskopy. Zostało tylko Lego. I Ian.

Spojrzenie Mickey na chwilę powędrowało ku drzwiom do łazienki. To już kilka godzin.

– A szybko lata ten twój kosmiczny myśliwiec?

Ian wymamrotał coś pod nosem i zupełnie bez powodu zrzucił kapcie, robiąc – jak to on – nadąsaną minę, jakby wszystko na świecie go wkurzało.

Mickey powstrzymała uśmiech. Ten dzieciak to chyba jej ulubieniec.

Od drzwi dobiegł odgłos ciężkich kroków i brzęk kluczy. Mickey odwróciła się, spojrzała w zniszczoną twarz dyrektorki przedszkola Jean Donoghue i zobaczyła...

Niepokój. Cholera.

– Dzień dobry, pani Morris – odezwała się ze sztuczną słodyczą godną dietetycznej coli, z którą się nie rozstawiała. – Cześć, Ian.

Ian zerknął na nią wściekle i wrócił do układania Lego. Tak, to zdecydowanie ulubieniec Mickey.

Jean podeszła do biurka nauczycielki, przysiadła na jego krawędzi, po czym leciutko wzruszyła ramionami, potwierdzając to, czego się obawiała: trzeba będzie dzwonić po służby.

– Nie odebrała komórki? – spytała Mickey.

– Dzwoniłam cztery razy.

Mickey ogarnął chłód rozczarowania.

– Może dajmy jej jeszcze dziesięć minut? Zasluguje chociaż na tyle.

W karcie Iana podano, że matka ma dwadzieścia lat, a ojca brak.

Jean dopiła colę i zgmiotła w dłoni puszkę. Podkład oblepiał zmarszczki wokół jej zimnych, szarych oczu.

– Znasz regulamin placówki.

Tani wykret. Owszem, mama Iana powinna przyjechać za dziesięć czwarta, tak samo jak wszystkie inne mamy. Powinna czekać pod salą, powitać syna uściskiem, buziakiem i pudełeczkiem z pokrojonym jabłkiem i masłem orzechowym. Ale to nie ona tutaj zawiniła. Pewnie musiała zostać dłużej w pracy, bo choć nie znosiła posady kelnerki, nie mogła jej rzucić, skoro właściciel mieszkania podniósł jej czynsz

o trzydzieści pięć procent. A teraz jeszcze Jean zamierzała wezwać służby?

Mickey pomyślała o własnej matce i o kawalerce, w której przez lata mieszkaly. Pusta lodówka, światła, które zapalały się tylko czasami. A wszystko przez to, że ojciec...

Nie. Trzeba zatrzymać te myśli. Zapomnieć i o nim, i o gazecie, która leżała teraz tak, jakby nie było w niej nic ważnego – po prostu mogła się przydać do prac z papier *mâché*.

Mickey wzięła głęboki wdech, ale wciąż czuła w uszach pulsowanie krwi, a w gardle ucisk.

– To trudny czas dla jego mamy.

– To trudny czas dla mnie. Mam dziś trzecią randkę z moim księgowym. – Jean wrzuciła do stojącego obok biurka kosza na odpady wtórne pustą puszkę po coli, która z klekotem spadła na dno, a potem zamilkła. – Trzecią. Muszę iść.

Mickey nie wierzyła własnym uszom, choć to było do przewidzenia. Jean zbliżała się do emerytury i większość dnia pracy spędzała, oglądając na TikToku, jak ludzie kroją hiperrealistyczne torty.

– No to idź. Ja zostanę.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– To żaden prob...

– Na pewno? – Jean zdjęła z szyi smycz i upuściła ją koło laptopa Mickey. – Tu są klucze. Jesteś cudowna. Naprawdę. Ta praca to twoje powołanie.

To była prawda. Mickey miała twarz nauczycielki przedszkolnej: zwyczajną, w kształcie serca, z obszernym czołem i szeroko rozstawionymi, budzącymi sympatię oczami. Miała radosny, śpiewny głos, szeroki uśmiech i dość cierpliwości, by dwadzieścia sześć par rącek włożyć do dwudziestu sześciu par rękawiczek. Przedszkole było jej powołaniem, jej przeznaczeniem, jedyną rzeczą, dzięki której nie gnęła teraz gdzieś w rowie.

– Dam ci podwyżkę. – Jean zaśmiała się szczerze. – Tyle że nie mogę. Gdybym mogła, tobym ci dała. Przecież wiesz.

Pensja była żalosna, a Mickey miała sporo wydatków.

Skoro już o tym mowa...

– Zanim pójdziesz, skorzystałabym z toalety.

– Oczywiście, oczywiście.

Mickey zgarnęła torebkę z biurka i znacząco skinęła do Jean głową.

– To te dni. – Co oczywiście mogłoby być prawdą.

Jean zasalutowała jej trzema palcami.

Mickey przebiegła parę kroków i zwolniła do marszu. Bieg, marsz. Bieg, marsz. Wymijała węzowym torem stoliki w kształcie rombów i małe żółte krzeselka. Przecisnęła się przez drzwi do łazienki. Opadła na dziecięcy sedes i zajrzała do torebki. Portfel, okulary... paczka chusteczek antybakteryjnych, plastry... biografia Hillary Clinton, którą wzięła z książkodzielnii osiem miesięcy temu i której nawet nie otworzyła...

Zacisnęła dłonie na ekoskórze. Po co się w ogóle robi takie wielkie torby? No po co? Z czystego poczucia obowiązku nawrzucała do niej badziewia. I teraz to, co nie było badziewiem – to, czego chciała, czego potrzebowała – nie dawało się znaleźć.

Hillary Clinton uderzyła o podłogę. Ładowarki i słuchawki bezprzewodowe przelewały się Mickey przez kolana. Do gardła podeszła ze szczypaniem żółć. Gdzie to jest? Może w biurku? Bo na pewno nie zostało w domu.

W końcu natrafiła palcami na chłodny plastik i we wszechświecie znów zapanował ład, rozproszone księżyce i gwiazdy powracały grzecznie na miejsca. W końcu znalazła tani bidon na wodę, który napelniła rano przed wyjściem z domu.

Pchnęła palcem zatyczkę, zbliżyła ustnik do warg i napiła się wódki.

Na suficie migotała żarówka, światło kurczyło się, pęczyło i znów się kurczyło. Nadeszło cudowne uczucie skupienia. Mickey osiągnęła stan dostrojenia i spokoju. Jakby zyskała wzrok absolutny. Chyba był o tym jakiś wiersz. O tym, że

wieczność może się zmieścić w ziarnku piasku, a nieskończoność w godzinie. A może na odwrót? Postanowiła to później wygooglować.

Po kolejnych kilku łykach Mickey odłożyła butelkę i wstała – nawet nie próbowała się wysikać. Przedszkolanki nigdy nie sikają. Na ich etapie ewolucji to zbędne.

Gdy już wyszła, zastała Jean wpatrzoną z zachwytem w telefon.

– Dasz wiarę, że to jest tort, a nie but narciarski? – Pokazała Mickey wyświetlacz.

– Nie dam. – Mickey powstrzymała beknienie.

Jean ruszyła do wyjścia.

– Nie czekaj dłużej niż pół godziny.

Potem zostali tylko we dwoje.

Ian konstruował kolejny kosmiczny myśliwiec, a Mickey spokojnie siedziała przy biurku z głową pełną racjonalnych myśli. To niedobrze opiekować się dzieckiem pod wpływem alkoholu. Mickey o tym wiedziała. Dlatego nigdy, przenigdy tego nie robiła, dziś był jedyny wyjątek. Od czasu studiów pedagogicznych miała zasadę: ani kropli alkoholu, dopóki nie wsiądzie w autobus do domu. Gnienienie w brzuchu przypominało jej, że powinna już w nim siedzieć.

Czy nie byłoby jeszcze gorzej, gdyby wezwała policję? A tym samym pchnęła Iana w odmęty systemu opieki społecznej? Mickey nie wątpiła, że większość rodziców zastępczych to życzliwi ludzie o dobrych intencjach. Ale nawet jeśli Ian trafi do kogoś dobrego – doceniającego jego kreatywność, gotowego słuchać o wszystkim, co chłopiec wie o podróżach kosmicznych – to ten ktoś i tak nie pokocha go jak mama. A on na zawsze zapamięta dzisiejszy dzień jako ten, w którym został zabrany. „Zabezpieczony”. Tak się to nazywało.

Nie. Lepiej posiedzieć i poczekać.

Mickey objęła się ramionami. Nie myślała o butelce w torbie ani o tym, jak bardzo miała ochotę na kolejny łyk. A już

na pewno nie myślała o swoim ojcu. O jego serdecznym śmiechu, o tym, jak udawał Tygrysa, o letnich niedzielnych spacerach nad rzekę i karmieniu kaczek. Lubił spędzać czas na świeżym powietrzu, pamiętała to. Leżeć w cieniu wysokich drzew, przycinać w ogrodzie krzewy, te z puszystymi białymi kwiatami.

Mickey się skrzywiła. Wibrował jej pośladek.

NUMER NIEZNANY

To już trzeci raz dzisiaj. Wsunęła telefon z powrotem do kieszeni jeansów, ręce schowała pod pachy i patrzyła przez małe okno w sali, jak wieczór rozpycha się po niebie.

Dziesięć minut później znów zawibrował jej tyłek.

NUMER NIEZNANY

Położyła iPhone'a na biurku i wbiła w niego wzrok. Mogła odebrać, sprawdzić, kto dzwoni. Nawet jeśli to telemarketer, ankieter albo oszust żądający natychmiastowego przelewu w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, może powie coś ciekawego. Mickey będzie mogła zapytać o pogodę w Toronto, Dallas czy gdziekolwiek. Zagadać o rodzinę, dowiedzieć się czegoś o teściach, którzy wpadli bez zapowiedzi i nie chcą wyjechać, o nastolatkach zaszytych w pokojach, palących e-papierosy i żywiących się płatkami śniadaniowymi. Będzie trochę śmiechu, może nawet łzy. Całkowicie zatraci się w rozmowie.

Odebrała.

– Halo?

Pół sekundy szumu.

– Michelle?

Gardło Mickey się zacisnęło. Nikt jej tak nie nazywał.

– Michelle Kowalski? – Ochrypli męski głos.

– Tak? – powiedziała. – To znaczy nie. Ale tak.

– Dobrze. – Pierwsza sylaba się ciągnęła: „Dooooobrze”. – Przepraszam, czyli to pani? Michelle Kowalski?

– Jestem Michelle Morris.

– Aha. Szukam Michelle Kowalski, córki Adama Kowalskiego.

– To ja. To znaczy w pewnym sensie.

Mickey, odkąd skończyła czternaście lat, używała nazwiska Morris, nazwiska panieńskiego mamy. Chociaż rodzice rozstali się niemal trzydzieści lat temu, mama wciąż używała nazwiska byłego męża, Kowalski, co było tak popieprzone, że nawet nie dawało się skomentować.

– Kto mówi? – spytała.

– Nazywam się Tom Samson. Jestem prawnikiem w kancelarii Samson, Baker i Chen.

Mickey przypomniała sobie nagle o niewypełnionej deklaracji podatkowej, niezwróconych książkach z biblioteki i o pierwszej muffince, którą podwędziła ze sklepu jako dzieściolatka. Poczula potrzebę, by się zasłonić, ukryć.

– Prawnikiem?

Wielkie niebieskie oczy Iana podniosły się na nią na chwilę, po czym znów spoczęły na flocie statków kosmicznych, które zbudował na dywanie: ustawionych w formacji, gotowych do ataku.

– Dzwonię w sprawie pani ojca.

I znowu wspomnienia: jego śmiech, Tygrysek, chleb, kaczki. Noszenie na barana. Jego szerokie ramiona i dębowy zapach. Lody w rożku. Kalosze i błotniste kałuże. Mały różowy rower na dwóch kołach, głos przy jej uchu: „No dalej, kochanie. Dasz radę”.

– Zatrudnił nas parę lat temu do zarządzania majątkiem – wyjaśniał prawnik. – Nie wiem, jak często pani z nim rozmawia.

Ani razu w ciągu dwudziestu sześciu lat. Teraz już nigdy nie porozmawiają. Ulżyło jej, a zarazem... nie. Choć nie wiedziała dlaczego.

– Przeczytałam... – Mickey urwała, nie zdołała powiedzieć: „nekrolog”. – To znaczy, wiem... wiem, że... że nie żyje.

– Moje kondolencje.

W tych słowach było coś bardzo obraźliwego.

– Dziękuję.

– Pewnie, eee, pewnie domyśla się pani, do czego zmierzam.

Mickey nie miała pojęcia.

– Uwzględnił panią w testamencie.

Mickey zatrzymała to zdanie w myślach, obracała je i wykręcała, oglądała z różnych stron. „Uwzględnił panią w testamencie”. Znała znaczenie każdego z tych słów osobno. Razem nie znaczyły nic. Sieczka słowna, antyzdanie.

– Co?

– Ojciec zostawił pani... – króciutka, ale znacząca pauza – ... pewne aktywa.

Aktywa oznaczały własność, inwestycje, udziały. Aktywa to pieniądze. Coś, co kochający rodzice zostawiają swoim dzieciom – dar jednego pokolenia dla drugiego.

– To chyba jakaś pomyłka – powiedziała Mickey.

Na linii zapadła cisza. Słyszała, jak serce jej wali, zegar tyka, a Ian nuci motyw z pewnej opery kosmicznej.

– Może łatwiej będzie, jeśli się spotkamy – zaproponował prawnik. – Kancelarię mamy w centrum albo może ja mógłbym gdzieś do pani dojechać?

Mickey odszukała gazetę na stercie na biurku, otworzyła stronę z nekrologami i przyjrzała się zdjęciu zmarłego taty. Przez dwadzieścia sześć lat w ogóle się nie zmienił. No, może trochę. Ale pomijając łysą głowę i obwisłą szyję, zachował dawny blask – ten promienny uśmiech i błysk w oku.

„Rozłącz się” – przekonywała siebie.

– Michelle? Jest tam pani?

„Rozłącz się w tej chwili”.

– Tak. Jestem.

– Miałaby pani czas dziś wieczorem?

Ian otwarcie wpatrywał się teraz w Mickey z nieodgadnioną miną. Była prawie piąta. Pewnie był zmęczony, głodny i bał się bardziej, niż chciałby się przyznać.

Mickey chętnie napiłaby się jeszcze ze swojego bidonu.

– A podwiózłby mnie pan? – zapytała.

*

Żółty liść topoli przemknął po chodniku i przyłgnął do kostki Iana. Chłopiec opuścił wzrok i westchnął, na parę sekund wbił w liść puste spojrzenie, a potem go strząsnął. Wszystko to wyglądało tak przygnębiająco, że Mickey miała ochotę się rozplakać.

Uklękła, by być na wysokości jego wzroku, tak jak zawsze.

– Niedługo będziesz w domu.

Chłopiec gmerał przy jednym ze swoich kosmicznych myśliwców, podnosił malutką pokrywę kokpitu i odsłaniał ukrytego w środku ludzika Lego – zapaśnika sumo, o ile Mickey się nie myliła.

– Mama jest czasem strasznie zajęta. Ale bardzo mnie kocha.

Mickey nagle ogarnęło pragnienie, by zabrać go do domu, przygotować mu ciepłą kąpiel i dać do rąk kubek kakao, przeczytać bajkę i przyrządzić jego ulubioną kolację – wiedziała, że to zapiekany makaron z serem. Oczywiście nie mogła tego zrobić. Za to zapięła mu kurtkę i poprawiła podwinięty kołnierzyk.

– Oczywiście, że kocha.

Przez kolejnych dziesięć minut stali przy krawężniku zwróceni plecami do przedszkola, u ich stóp wisiały długie cienie. Wrzesień jeszcze się nie skończył, ale dni były krótkie, a chłód przenikliwy. W tej części kraju zima miała w zwyczaju przychodzić wcześniej i zostawać na długo.

Spodnie Iana zsunęły mu się odrobinę z bioder, gdy wkładał klocki do kieszeni.

- Mogę iść na zjeżdżalnię?
- Niestety nie. Zaraz ktoś po nas przyjedzie.

Na widok każdego przejeżdżającego auta Mickey czuła ucisk w żołądku. Nie pomyślała, żeby spytać, czym jeździ prawnik.

- Dlaczego się pani denerwuje? – zapytał Ian.
- Nie denerwuję się.
- To czemu pani tupie?
- Nie tupię.

Ian uniósł brew.

– Umarł mój tak zwany ojciec – przyznała Mickey. Dzieciaki to niezawodni wykrywacze ściemy.

- Pani jaki ojciec?
- Nie zasługuje na miano ojca, ale formalnie nim jest. – Mickey potrząsnęła głową. – Był.
- Aha – westchnął Ian filozoficznie.

Nie chodziło o to, że Mickey miała zrytą psychikę. Zrobiła przecież licencjat. Jadła zieleninę. Stać ją było, by zapłacić za prąd, zdołała nie uśmiercić swojej małej paprotki. Tak, właśnie, całkiem nieźle radziła sobie w świecie i prawie nie prosiła przy tym o pomoc. No i co, że miała parę słabostek? To tylko alkohol. Czasami marihuana. Od czasu do czasu *Bridgertonowie*. Czy to miało jakieś znaczenie? Była dorosłą, trzydziesto-trzyletnią osobą. Jeśli chciała wrócić do domu i wypić pół litra wódki przy pieprznym romansie kostiumowym, to miała do tego, cholera, prawo.

- Pani Morris?

Jakiś mężczyzna podszedł do nich powolnym, nierównym krokiem pięćdziesięcioparolatka ze starą kontuzją sportową. Miał na sobie granatowy garnitur i wąskie okulary przeciwsłoneczne, budzące w Mickey rzewne wspomnienie początku XXI wieku.

- Pan jest pewnie Samson – odparła.
- Prawniki zdjęli okulary i zamrugali, patrząc na Iana.

– Czy to pani...
– Mój uczeń.
– Aha. – Samson wcale nie sprawiał wrażenia, że coś zrozumiał.

– Jego mamie coś wypadło, więc podrzucimy go do domu – oświadczyła stanowczo Mickey.

Zapuka do drzwi, a mama Iana otworzy spocona, zgrzana i wciąż ubrana w roboczy strój kelnerki – w wyobrażeniu Mickey była to bladoniebieska sukienka z guzikami przez środek. „Bardzo przepraszam” – powie, mocno przytulając synka. – „I dziękuję”. A potem prawnik odwiezie Mickey do jej małego mieszkanka, by mogła robić to samo, co każdego wieczoru. Właśnie taki był plan.

– Ian, to jest pan Samson.

– Tom. Samson. – Mężczyzna wyciągnął rękę, ale chłopiec tylko na nią popatrzył. – Ja, eee... – Ręka opadła. – Zaparkowałem za rogiem.

Cała trójka wgramoliła się do lśniącego czarnego mercedesa. Mickey zajęła miejsce z przodu i wprowadziła w Google Maps adres Iana. Telefon zaczął dawać wskazówki i ruszyli, oddalali się od centrum pełnego knajp z kebabami, apartamentowców w budowie i szyldów o sprzedaży nieruchomości przejętych od dłużników. W powietrzu wisiały ziemiste opary wody kołońskiej Samsona.

Mickey, sama nie wiedząc czemu, wyciągnęła z torebki gazetę – nie była nawet pewna, po co ją zabrała. Wyrzuci ją, gdy tylko wróci do domu.

*Z głębokim żalem zawiadamiamy
o śmierci Adama Kowalskiego,
który odszedł w wieku 61 lat po długiej chorobie.*

Chorował. Rak? Coś z wątrobą? Czemu ją to w ogóle obchodzi?

*Pozostanie w pamięci kochającej żony Leonory
i córki Charlotte.*

Mickey złożyła gazetę na pół, a potem znów na pół, i znów, i znów, aż papier nie dawał się już zagiąć. Teraz ma ze dwadzieścia pięć lat, ta cała Charlotte. To dorosła kobieta z anegdotami z podróży i ulubioną kawą. Nie jest już księżniczką z warkoczykami, którą Mickey zawsze sobie wyobrażała. Wyobrażała sobie, bo nigdy nawet nie widziała jej zdjęcia. Nie chciała go oglądać.

Mama przez lata śledziła wydarzenia z życia taty i jego nowej rodziny, nigdy nie zapomniła, by ot tak, od niechcienia zapytać o niego wspólnych znajomych, kiedy się na nich natykała. Nieodmiennie powtarzała wszystkie te informacje Mickey, która mogła jedynie zatykać uszy. („Zapisali ją do prywatnej szkoły, dasz wiarę? Ponoć gra w golfa. Dziewięciolatka”).

Samson zerknął na Mickey, jego spojrzenie skakało między jej dekoltem a twarzą.

– Chyba jest pani bardzo podobna do mamy, prawda?

Mickey aż zemdlilo. Ten facet przypominał jej tych wszystkich facetów w garniakach, z którymi miała do czynienia jako dwudziestoparolatka, tych, którzy upijali ją najdroższą tequilą i ocierali się o nią biodrami na lepkich klubowych parkietach. Tych, którym rano nie była w stanie spojrzeć w oczy.

– A skąd pan wie?

– Pani tata pokazał mi kiedyś zdjęcie.

Serce prawie rozsadziło jej żebra.

– Proszę go tak nie nazywać.

– Nabożeństwo jest jutro.

Mickey zignorowała tę informację.

Samson zerknął na Iana w lusterku wstecznym, gdy podjeżdżali do czerwonego światła.

– Fajny samolot.

– To kosmiczny myśliwiec – warknął chłopak.

Zaparkowali pod wysokim szeregowcem z oknami wychodzącymi na ulicę, za którymi widać było elegancką białą jadalnię. Na ładnie wykoszonym trawniku stały dwa żółte drewniane leżaki. Nawet po powtórnym sprawdzeniu adresu Mickey wciąż nie była pewna, czy dotarli we właściwe miejsce.

Odwróciła się, by zerknąć na Iana na tylnym siedzeniu.

– Tutaj mieszkasz?

Ale on już odpiął pas, wysiadł z auta i popędził w stronę domu. Mickey dogoniła go na czas, by zadzwonić do drzwi.

Ukazał się w nich mężczyzna o wyglądzie modela z reklamy męskich perfum, co budziło w Mickey dziwny wstręt: szczecina na policzkach, zamysłone spojrzenie, rozpięta do połowy elegancka koszula. Chyba najpierw zauważył ją.

– Tak?

Potem dostrzegł Iana.

– Cześć. Co się dzieje?

Ian przepchnął się do środka i zsunął plecak, który niemal bezdźwięcznie opadł na parkiet. Chłopiec zniknął za rogiem, po chwili trzasnęły jakieś drzwi.

Mickey ogarnęło złe przeczucie. Coś tu było nie tak.

– Pan jest ojcem Iana? – zapytała.

Mężczyzna się roześmiał.

– Wujkiem.

Mickey zerknęła mu przez ramię, rozejrzała się za oznakami obecności mamy Iana. Miała tu być. Musiała tu być.

– Mieszka pan tu?

– To mój dom.

Jego dom. Czyli mieszkają wszyscy razem?

– Przepraszam... kim pani jest? – Miał coraz bardziej niepokojną minę.

– Nauczycielką – wyjaśniła powoli Mickey. – Liczyłam, że uda mi się chwilę porozmawiać z Evelyn.

Mężczyzna podrapał się po karku, pochylił głowę tak bardzo, że widać było przerzedzone włosy na jej czubku.

– Ja myślałem... że Ian pojechał z nią. Dziś rano wyjechała. Słowa kolejno zapadały się w tkanki miękkie Mickey, każde wbijało się w nią jak pocisk. „Dziś. Rano. Wyjechała”.

– Evelyn to pana siostra? – zapytała, szybko myśląc.

– Przyrodnia.

Mickey przyjrzała mu się bliżej. Miał zbyt kanciastą szczękę. Zbyt umięśnioną klatkę. Wymodelowane włosy nad czołem estetycznie opadały na bok. Ogółem wyglądał na dupka – no trudno. Był najbliższą rodziną Iana, musiał wystarczyć.

– Zajęcia zaczynają się w poniedziałek o dziewiątej – powiedziała. – Dopilnuje pan, żeby dotarł?

Wskazał na siebie.

– Ja?

– Pan.

– Nie mogę się nim opiekować. Ja nie jestem... Nie mogę. – Po jego szyi i policzkach rozlał się rumieniec. – Po prostu nie mogę.

– Nie dosłyszałam pańskiego imienia – powiedziała tak pewnym głosem, na jaki mogła się zdobyć. Przed wyjściem z przedszkola pociągnęła kolejny łyk z bidonu, ale rausz, a raczej spokój, jasność, dawno minęły. Świat znowu spowily chmury. Musiała dotrzeć do domu.

– Christopher. Chris.

Mickey oparła dłonie na jego ramionach.

– Słuchaj, Chris. Sprawa wygląda tak. Ten mały człowiek w środku potrzebuje kogoś, kto zrobi mu obiad. Kogoś, kto się z nim pobawi. Kogoś, kto przygotuje mu kąpiel i przeczyta bajkę na dobranoc. Potrzebuje przytulenia. Te zadania, czy tego chcesz, czy nie, przypadły tobie. Dzisiaj jesteś za to odpowiedzialny. Nikt poza tobą tego nie robi. Rozumiesz?

Miał oczy jak dwie piłki.

– T... tak.

Mickey obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

– Dzieci mają być w placówce na dziewiątą. Nie zapomnij spakować drugiego śniadania i przekąski.

– Ale... co, jeśli tego nie ogarnę?

Obejrzała się i zobaczyła, że jego przystojna twarz nieco przywiędła. Bez otoczki zuchwałości był trochę podobny do siostrzeńca. Zwłaszcza oczy, opadające w dół zewnętrzne kąci.

Podbiegła z powrotem na werandę, dała Chrisowi swój numer i posłała uśmiech, który miał go pokrzepić.

– Żebyś mógł zadzwonić, jeśli... – miała na myśli „kiedy” – ... coś pójdzie nie tak.

Wróciła do auta, gdzie Samson siedział z rozłożoną na kolanach teczką.

– Przejdę do rzeczy – powiedział.

Chociaż silnik był zgaszony, Mickey zapięła pas. O cokolwiek chodziło, chciała mieć to za sobą.

– Śmiało.

– Ojciec zostawił pani pieniądze.

Mickey poczuła, jak opada jej szczęka. Pierwsze dwa słowa rozbrzmiały wyraźnie i prawdziwie. Dwa ostatnie – wręcz przeciwnie. Ojciec zwykle brał, a nie dawał.

Samson podał jej niewielką żółtą kopertę.

– Wypłata funduszy jest uwarunkowana pani zgodą na spełnienie kilku warunków.

Rozdarła kopertę i wytrząsnęła z niej zawartość – pojedynczy arkusz brystolu. Gdy zaczęła czytać napisany wymyślną czcionką tekst, po jej ramionach i szyi rozlało się gorąco. To przecież bez sensu.

– Voucher na siedem sesji terapeutycznych.

– Tak, w... – Samson zajrzał do teczek – ... gabinecie Momentum.

Mickey zamachała kartką w powietrzu.

– Co to ma niby znaczyć?

– To warunki, które musi pani spełnić.

„Warunki”, czyli... Nie, to nie mogła być prawda.

– Nie dostanę pieniędzy, dopóki nie pójde na terapię?

– Do tego się to sprowadza.

Mickey cisnęła voucher na deskę rozdzielczą.

– Ja pierdolę.

– Fakt, to dość nietypowe.

Mickey była teraz kompletnie przegrzana, gumka w jej spodniach robiła się wilgotna od potu. Dźgała przycisk na drzwiach pasażera, chcąc opuścić szybę, ale ona ani drgnęła.

– Ja pierdolę, co to ma być?

– Jest tu notatka od niego. Przeczytać?

Mickey prychnęła. Za trzydzieści minut będzie sobie leżeć w domu z butelką rosyjskiej czystej. Niepotrzebny jej ten durny prawnik z durnymi okularami. Niepotrzebne jej grosze, które ojciec postanowił jej rzucić. Niepotrzebne żadne...

– „Mojej córce Michelle zostawiam sumę pięciu i pół miliona dolarów”.

Mickey zaciągnęła się powietrzem, a w każdym razie próbowała.

– „Rozumiejąc krzywdę, jaką jej wyrządziłem jako młody ojciec, oraz potrzebę naprawienia szkód z pomocą specjalisty, proszę o zamrożenie tych funduszy do czasu, gdy Michelle odbędzie siedem pięćdziesięciminutowych sesji psychoterapeutycznych. Jeśli Michelle nie zdecyduje się na odbycie sesji w ciągu trzech miesięcy, moją wolą jest przekazanie owej kwoty fundacji hospicyjnej Sunrise”. – Samson zamknął teczkę. – To tyle.

Mickey próbowała przełknąć ślinę, ale ta funkcja życiowa też była ponad jej możliwości. Boże, dlaczego tu jest tak gorąco?

– Wie pani, ja chodzę na terapię. – Samson wzruszył ramionami.

– Tak?

– Jeśli mi pomaga, to jestem pewien, że pomoże każdemu. – Gdy Samson odwracał się do niej, wydawał się dziwnie zrozpaczony. – Bo ja naprawdę jestem dupkiem.